



autor: Clayton

Sir,

I am very pleased to inform you, that my temporary transfer to the Army of Tennessee has been approved by the appropriate military authorities. I am more than ready to join you in fight against the illegal invasion on the sacred soil of the Peach State. I hope you will kindly accept my request and allow me to stand up for the Cause side by side with the Florida's finest the men of Company K, 7th Florida Volunteer Infantry.

In case of your amiable consent I will arrange all details of my arrival with QM Sgt (.)

Hoping this letter finds you in good health,

I am, Sir,

Your most obedient servant,

Clayton, pvt., 14th Louisiana Volunteer Infantry Regiment

Tak to się zaczęło. A właściwie zaczęło się miesiąc wcześniej, od obietnicy złożonej przy pożegnaniu w obozie pod Gettysburgiem. Nasi przyjaciele z kompanii K 7. Pułku z Florydy nieraz wspominali o swoich jesiennych planach.

Z pewnym zaskoczeniem dowiadywaliśmy się, że dla nich to nie Gettysburg jest najważniejszą rekonstrukcją roku, lecz bitwa, która rozegrała się w północnej Georgii, nad niewielką rzeczką o egzotycznej nazwie Chickamauga. To tam właśnie, drugiego dnia walk ich pułk okrył się nieprzemijającą sławą, zdobywając podczas szturm na bagnety dwa nieprzyjacielskie sztandary i biorąc ponad czterystu jeńców.

W mojej pamięci dźwięk tej nazwy poruszył czułą strunę, budząc wspomnienia korpusu Joe Wheelera walczącego z federalną kawalerią nad Crawfish Creek. Pod wpływem impulsu zobowiązałem się, że za nieco ponad dwa miesiące ponownie stanę w ich szeregach. Po powrocie do Polski przeczytałem o owej obietnicy w pułkowym biuletynie naszych gospodarzy. Po kwadransie byłem już szczęśliwym posiadaczem biletów lotniczych. Cóż, kobyłka u płota...

Z uwagi na prozę codziennych obowiązków ten wyjazd musiał być krótszy. We wtorkowy poranek, 17 września, wkroczyłem na pokład latającego łamacza blokady, by po około osiemnastu godzinach znaleźć się na gościnniej ziemi hrabstwa Clayton, praktycznie na przedmieściach Atlanty.

Pierwsza z dwóch spędzonych pod dachem nocy była dość niespokojna – w rękach służb federalnych znajdowała się wciąż moja (ponoć zagubiona podczas przesiadki) walizka, zawierająca kompletny mundur i oporządzenie. Szczęśliwie dotarła do mnie już następnego poranka, dzięki czemu w znacznie lepszym nastroju wyruszyłem z hotelu, by maksymalnie wykorzystać dobę przeznaczoną na zwiedzanie.

Program nie mógł być zbyt obszerny. Ograniczyłem się do krótkiej przechadzki uliczkami Jonesboro, by następnie, już w samej Atlancie, odwiedzić park noszący imię Granta (jak przypuszczam, na cześć znanego aktora Cary'ego Granta, którego pamiętamy z filmu Północ, północny zachód i innych dzieł Alfreda Hitchcocka). Przywiodła mnie tam słynna Cyclorama – monumentalna panorama bitwy pod Atlantą, którą podziwia się, zasiadając na obrotowym podium dla publiczności. Swoistym dodatkiem do niej jest muzeum Wojny Między Stanami – niewielkie i nieolśniewające swymi zbiorami. Jednak przynajmniej jeden eksponat zasługuje na

uwagę – jest to parowóz *Texas*, który podczas słynnej pogoni doścignął uprowadzonego przez federalnych sabotażystów *Genera a.*



Po opuszczeniu terenu parku czekała mnie niespełna godzinna przechadzka urokliwymi uliczkami Atlanty na najstarszy w mieście cmentarz Oakland. Tam, jakżeby inaczej, odwiedziłem kwaterę konfederacką, by złożyć wizytę słynnemu Lwu.



Potem jeszcze krótka gonitwa po centrum w poszukiwaniu pamiątek i powrót do hotelu, w którym oddałem się ulubionemu zajęciu nas wszystkich – zwijaniu i sklejanu stu dwudziestu papierowych patronów, które następnego dnia miałem wypełnić przywiezionym przez kwatermistrza prochem.

Kolejny dzień to wczesna pobudka i podróż do Chattanooga, gdzie po kilku godzinach spotkałem pierwszy zmechanizowany patrol 7. Pułku z Florydy, dowodzony przez drugiego sierżanta kompanii K. Pod jego dowództwem ruszyliśmy zwiedzać park narodowy, poświęcony

dwóm stoczonym w tej okolicy bitwom – nad Chickamaugą i pod Chattanooga. Wśród wielu pomników trafiłem też na ten szczególny, poświęcony walczącym w obu bitwach jednostkom z Georgii.



Wreszcie, po przebyciu ostatniego, trzydziestomilowego odcinka podróży trafiłem do obozu, witając nielicznych jeszcze znajomych. Pierwszy wieczór miał się okazać dość symptomatyczny – liczna grupa piechurów biegła po rozległym obozie, próbując ustalić, skąd wyrusza improwizowana brygada ochotników mających w planie nocny marsz połączony z kilkoma potyczkami. Wreszcie, znecierpliwieni ruszyliśmy, kierując się dobiegającym ze wzgórz ogniem karabinowym. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że strzelano „na wiwat”. Przechadzka okazała się pouczająca – kilkakrotnie pikiety zatrzymywały nas, pytając o hasło. Odpowiadaliśmy jednym z trzech zasłyszanych od trzech oficerów – do wyboru. Wciąż też padało to samo pytanie – „Widzieliście Jankesów?”. I ta sama odpowiedź – przecząca. Wkrótce trzeba było pogodzić się ze smutną prawdą – Jankesów nie dowiedzieli. Stronę federalną reprezentowało niespełna 30% rekonstruktorów, a duża większość z nich miała dotrzeć dopiero następnego dnia. Po obozie krążyły złośliwe plotki, że na nocny spacer po górach zgłosiło się dwóch, a i oni, korzystając z ciemnej barwy mundurów, spokojnie przespali noc w krzakach.

